

Drogowskaz



FRANCISZEK MIRANDOLA

TROPY

Drogowskaz

Była pełnia. Księżyc świecił jaskrawo, a pnie brzoź połyskały żółtawym blaskiem, na tle czerni zwiłkanych¹, dziwnych kształtów pełniących² głąb lasu. Noc nie działała kojąco. Wydawało się, że księżyc przybrał maskę słońca i przedrzeźnia oto śpiącego władcę dnia. Cienie były jak aksamit czarne, przepastne, by³ otchłanie, w które zapadały oczy śledzące formy znane czy prawdopodobne. Zapadały i nie znachodziły⁴ niczego, czasem tylko dostrzec się dawał prostolinijny pień podobny do filara, jeden, drugi, trzeci... Były jak kolumny podpierające strop ogromnej kaplicy przedpogrzebnej.

Czarno-stalowe były fale rzeki płynącej pod lasem. Woda zatraciła przejrzystość. Sunęła upornie⁵, bez przerwy, monotennie. W poprzek zwałił się kloc żółty, słup światła i leżał w bezruchu otępiały, ciężki, posępny.

Od dni i dni siedział na brzegu rzeki Człowiek z toporem obrócony plecami do lasu i spozierał pod prąd rzeki. Nie spuszczał oczu z punktu, gdzie się rzeka zatracza — tam na widnokręgu, skąd nadpłynąć miały upragnione i wyglądane dębowe tramy. Słuch wysłał na zwiady, czy nie pochwyti dźwięków fanfary, jaka rozebrzmieć⁶ miała, w momencie, gdy święte drwa znajdą się w jego pobliżu.

Czekał wolen⁷ niecierpliwości, tłumiąc samą zaródcz buntu, bowiem samo to czekanie świętobliwe i pokorne było nowicjatem wielkiego zakonu pracy, do którego wstąpić miał oznaczonej godziny. Była to część ważna i niezbędna samego wtajemniczenia, diakonat bliskiego kapłaństwa. Wiedział, że nadpłynąć muszą. Powstanie tutaj oto nowa świątynia, staremu Bogu wzniesiona, nowy kształt przedwiecznej prawdy, nowe hasło rzeszom stęsknionych, więź jedności, co zewrzeć ich miała w legion bojowników, pod sztandarem nieziszczalnego ideału.

Z dalekich krajów nadpłynąć miał budulec, stamtąd, kędy mieszka Tęsknota.

Człowiek z toporem siedział spokojnie na brzegu, sparszy⁸ łokcie na kolanach, z brodą na pięściach złożoną, a spojrzenie tkwiło w dali widnej tej nocy jakby w dzień biały.

Siedząc tak zapatrzony, nie wiedział, co się wokół niego dzieje. Zatracił czucie ze światem zewnętrznym, a w świecie tym dziwne zachodziły sprawy.

Las, do niedawna jeszcze cichy i zmartwiały rozszemrał się naraz głosami. Coś rozsuwało gałęzie z lekkim szmerem, trzaskały pod czyjąś stopą suche gałązki, tętniły głucho po mchu spieszne kroki. Najlżejszy powiew wiatru nie musnął listowia drzew ponad głową siedzącego, ni trawy dźbła⁹ tuż przy nim, a jednak w głębi lasu poruszały się krzaki i szemrało coraz mocniej, coraz donośniej.

Nagle rozteńniły się wyraźnie echa szybkiego biegu. Ktoś pędził, stąpając ciężko. Darł sobą gąszcz leśny, słyhać było postęki¹⁰ zadyszanych z wysiłku płuc i po chwili na czerni ostępu zamigotało białe ciało.

¹zwiłkany — dziś: zawiłkany a. splątany. [przypis edytorski]

²pełniący — tu: wypełniający, zapelniający. [przypis edytorski]

³by — tu: niby, jakby, jak. [przypis edytorski]

⁴znachodzić (daw.) — znajdować. [przypis edytorski]

⁵upornie — dziś: uporczywie a. uparcie. [przypis edytorski]

⁶rozebrzmieć — dziś: rozbrzmieć. [przypis edytorski]

⁷wolen (daw.) — dziś: wolny (od czegoś). [przypis edytorski]

⁸sparszy — dziś: wsparłszy. [przypis edytorski]

⁹dźbło — dziś: źdźbło. [przypis edytorski]

¹⁰postęki — dziś: postękiwanie. [przypis edytorski]

Człowiek z toporem poruszył się, obrócił ku lasowi głowę. Nadsluchiwał.

Nagle, niby strzał wśród nocy, zagrział okrzyk trwogi.

I wraz za nim rozebrzmiał śmiech... długi, cyniczny śmiech.

Ten śmiech ludzki, a jakby nieludzki przez zamróz, jaki od niego szedł, dochodził tuż z pobliza, jakby spoza najbliższego krzaka.

Rozebrzmiał raz jeszcze, trochę ciszej i urwał się nagle. Biegnący, zbliżał się z każdą chwilą bardziej.

Człowiek z toporem ścisnął silniej swój topór w dłoniach.

Nagle spostrzegł przybysza. Był całkiem nagi. Biegł, dobywając ostatnich sił.

Zerwał się na nogi i poskoczył naprzeciw, ale gdy go tamten spostrzegł, wydał przeraźny¹¹ okrzyk trwogi, dał ogromnego susa w bok, rzucił się w gęstwę ostreżyn¹², przedarł przez nią i skoczył z wysokiego urwiska w sino-czarne fale rzeki. Za chwilę zajaśniały jego ramiona na ciemnym tle. Pruł fale nerwowymi ruchami, płynął szybko, jakby mu szło o uratowanie życia. Po krótkim czasie znikł w oddali, stopił się w jedno z granatowym zarysem przeciwległego brzegu.

Człowiek z toporem stał przez chwilę zdumiony i poglądał¹³ za uciekającym. Nie mógł zrozumieć, czemu tak bardzo przeraził się na jego widok.

Jednocześnie wysłał na zwiady słuch w głąb lasu. Mniemał, że nadbiegnie stamtąd więcej ludzi. Ale nie dochodziły odgłosy kroków.

Posłyszał natomiast co innego. Znajdywały się poblisko jakieś istoty i rozmawiały. Ciche słowa zdawały się wychodzić tuż, spoza najbliższego krzaka.

Człowiek z toporem pochylił się ku ziemi, podpełznął bez szelestu nieco bliżej i położył się w trawie.

Dwie jakieś istoty, nie wiedział, zali¹⁴ byli to ludzie, zajęte były żywą rozmową.

Nastawił uszu.

— Mówię tedy, że mało któremu uda się umknąć?

— Naturalnie. Nie ma potrzeby ścigać go... sam wróci... po latach może, ale wróci niezawodnie. Przymus zbyteczny... dlatego też roześmiałem się na widok, jak zmykał. Myślał, że go ktoś goni...

— Powiedz no mi raz wyraźnie, co to jest takiego to ich „szczęście”.

— Dokładnie oczywiście określić ci tego nie potrafię, ale musi w tym coś być, bo inaczej czyżby go ludzie szukali z takim wysiłkiem, czyżby ginęli w poszukiwaniach daremnych.

— A gdzież ono jest? Powiedz. Czy miejsce jego pobytu zna stary kapłan... czy może tylko kpi sobie z ludzi?

— Nie wiem, ale nie musi wiedzieć, bo w takim razie przejrzałby nasz podstęp i zauważył, że nastawiamy drogowskaz w fałszywym kierunku.

— Któż to wie? Może i wiedział za młodu, ale zapomniał w starości. To zgrzybiały człowiek, nie wie sam, ile ma lat.

— Bo ja wiem? Wszakże nie jestem człowiekiem. Nie zadawaj mi ciągle tych głupich pytań. Co wiem, to ci powiem.

— Oto ludzie widocznie żyć bez rzeczy owej nie mogą, musi to więc być coś ważnego. Każdy szuka gdzie może i pędzi w pogoni za szczęściem swoją własną ścieżką. Ale wszyscy schodzą się ostatecznie tutaj, jako pielgrzymi długimi procesjami. Czy to się dzieje z prostego przypadku, czy jest w tym coś innego, nie wiem i nie mogę wiedzieć. Jestem z natury dosyć ciekawy, przeto usiłowałem nieraz...

— Co?... Powiedz...

— Badałem, szukałem, przetrząsałem cały nasz kraj. Ale nie znalazłem niczego więcej prócz drzew, łąk, zwierząt, roślin, rzeki i tym podobnych rzeczy. Oczywiście nie pominąłem także owego straszliwego, iście szatańskiego ostrowu¹⁵ leżącego w stronie, gdzie wskazuje drogowskaz.

¹¹przeraźny — dziś: przeraźliwy a. przerażający, a. przerażony. [przypis edytorski]

¹²ostreżyny — jeżyny. [przypis edytorski]

¹³poglądać — dziś: spoglądać. [przypis edytorski]

¹⁴zali (daw.) — czy. [przypis edytorski]

¹⁵ostrów — wyspa na rzece. [przypis edytorski]

— Ba... jakże mogłeś znaleźć, skoro nie wiesz, jak to wygląda. Musi tu jednak być gdzieś ukryte... nie dam sobie tego wytłumaczyć...

— Oj głuptasie, głuptasie! Czyż nie wiesz, że przed moim okiem nic się nie ukryje? Jakżebym ja, który musi wiedzieć wszystko, co się tutaj dzieje, mógł nie odnaleźć tej rzeczy, do której złążą się ludziska. Sprawa jednak ma się inaczej. Jest tutaj jakaś omyłka. Nie idzie o miejsce, ale o zrozumienie samej istoty szczęścia. Podobnie rzecz się ma z niebem i z piekłem. Jakże długo ludzie szukali po ziemi bramy do piekieł wiodącej, a po niebie dziury, przez którą przeciska się promień światłości wiekuistej. Ludzie wszystko zamieniają i mieszają jedno z drugim. Tedy owo szczęście, o ile przypuszczam, musi być jako niebo i piekło... jest wszędzie i nie ma go nigdzie. Nie jest to więc właściwie rzecz, ale coś podobnego do: „Niego”.

— Niepodobna...

— Zrozum tylko... jest wszędzie i nie ma go nigdzie... zupełnie jak On... nieśmiertelne.

— Cicho bądź... wszakże słyszy nas!

— No tak... słusznie. Zresztą cóż mnie to wszystko właściwie obchodzi! Czyż jestem człowiekiem? Basta!

— Czekajże... możemy przecież gadać o ludziach... to wolno!

— Wolno, ale to nudne.

— Jestem innego zdania... mnie to ciekawi...

— Nic dziwnego, jesteś żółtodziób... nie miałeś jeszcze służby na strasznym ostrowie.

— Tam, dokąd wskazuje drogowskaz?

— Tak. Ale nie wolno rozmawiać o tym. Rozumiesz?

— No dobrze... ale na cóż właściwie siedzi pod drogowskazem ten starzec? Powiedz mi! Czy on zawsze siedział na tym miejscu, czy był przed nim inny kapłan?

— Mój pradziad mawiał... ale będzie temu z górą sto lat i drogowskaz już wówczas był nastawiony na straszny ostrów... otóż mój pradziad mawiał, że czasu jego młodości inny kapłan siedział pod drogowskazem.

— I cóż się z nim stało?

— Co?... Osioł z ciebie. Oczywiście umarł, jak każdy człowiek. Pełno wśród lasu wzgórków podobnych do mogił. Są to zapewne groby dawnych kapłanów szczęścia.

— A co głosili tamci? Czy to co ten, czy może coś odmiennego?

— Phi... możliwe, że głosili to samo, ale może też co innego...

— To jest ważna kwestia. Gdybym wiedział dokładnie wszystko, co mówili wszyscy kapłani szczęścia, mógłbym sobie wyrobić pogląd, co to takiego jest. Chciałbym wiedzieć, czy zawsze jest ono takie samo, jak np. słońce, czy też ulega zmianom, jak księżyc.

— Spytaj więc człowieka. Ale nie wiem, w jaki sposób będzie cię mógł zobaczyć...

— To prawda. Ludzie są całkiem inni jak¹⁶ my. Muszą też mieć inne oczy i widzą zgoła inaczej.

— Nie zbyt dobre te oczy ludzkie, mówiąc między nami... Zawsze im ktoś musi pokazywać najprostszą rzecz, inaczej nie widzą nic... Ale mniejsza z tym... Otóż w jednym godzili się obaj kapłani ze sobą... mówił mój pradziad.

— Cóż to takiego! Mów! Czemuż przemilczałeś tę rzecz ważną?

— Obaj, dawny i teraźniejszy uważali się za posłańców Boga i prawdziwych, nieomylnych wyznawców prawdy.

— I głosili jednocześnie sprzeczne rzeczy?

— Nie wiem czy sprzeczne. Nie chcę ich oczerniać.

— Może mieli w młodości swej inne poglądy, a znów inne, gdy się postarzeliby?

— Nie wiem. Tamten zmarł, zanim przyszedłem na świat... Ale cóż ci tak bardzo w tym wszystkim zależy?

— Jestem młody... a młody diabeł nie bywa tak zły, jak wygląda z gęby... Tak mówi przysłowie.

— No i bierze wały...

— Niestety...

— Cicho no! Zdaje mi się, że ktoś nas podsłuchuje.

¹⁶jak — tu: niż. [przypis edytorski]

Człowiek z toporem poruszył się mimo woli. Zatrzeszczała gałązka. Przywarł do ziemi, zapierając oddech. Nastawił uszu. Ale daremnie. Rozmowa się urwała, nic nie przerywało ciszy. Las zamarł w bezruchu. Nie pochwycił ani słowa więcej. Dziwne istoty uciekły.

Czekał jeszcze czas jakiś. Ale las milczał, jak gdyby zapadł na nowo w głęboki sen, po krótkiej chwili półjawy. Człowiek z toporem wstał i kroczył przed się, nie oddalając się jednak od brzegu rzeki. Tajemnicze rzeczy i podsłuchana rozmowa wprowadziły go w dziwny stan podniecenia. Zasadniczo nie wierzył, by to wszystko było naprawdę rzeczywistością. Nic. Drogowskaz?... Niepodobieństwo! Musiała to być jeno jakaś metafora. Coś podobnego nie może mieć przecież realnego bytu. Rzecz jasna... zdrzemnął się... wbrew silnemu postanowieniu musiał się zdrzemnąć. Tylko ten człowiek... ten uciekający, nagi człowiek! Był to człowiek fizyczny, realny. Dudniała ziemia pod jego krokami, dyszał ciężko, dał olbrzymiego susa w bok, a potem skoczył w fale. Widział przecież na własne oczy... A może i to było snem?

Nie był w stanie wyrobić sobie jasnego pojęcia, gdzie kończy się tutaj sen, a zaczyna jawa. Jedno z drugim stopiło się tak bardzo, że musiał, w celu wydobycia się z mgieł marzenia, zwrócić swe myśli ku świątyni.

Tak, świątynia, przyszła świątynia. Oto jedyna realna rzecz w tym wszystkim.

Ale nagle i to mu się przysłoniło mgłą. Czyż i jej byt to marzenie, które przeżywał? I zdziwił się w głębi duszy, że nawet ta rzeczywistość niezaprzeczalna, jedyne dobro jego serca, ten najistotniejszy cel życia stał się jak sen czasu tej dziwnej, niepojętej nocy.

Śnimy prawdę, jak się przeżywa sen. Radość i ból to tylko zwrotki jednej kołysanki, którą nuci los-piastunka, kolebiąc nas w kołysce życia.

Zapisał się w las i zauważył, że zmienił się znacznie. Cienie były teraz mniej jaskrawe, jaśniejsze, bardziej przejrzyste, partie jaśni stały się matowe i bledsze. Na wszystkim położyła się srebrzysto-szafirowa mgła, a szafirowy jej ton stawał się z każdą chwilą głębszy i ciemniejszy. Las nie był już ponury, śnił słodko jak dusza mająca za chwilę zbudzić się z rozmarzenia. Pośród drzew zaczęło przeblyskiwać coś białego, a plama ta stawała się z każdą chwilą bielszą i większą. Unosiła się ponad wysoką trawą, wisiała chmurą...

Rozpoznał mgłę poranną.

Rozróżniał teraz olbrzymie pnie drzew i niskie, strzępiaste krzaki. Dostrzegł kręte ścieżki snujące się poprzez gęstwiny.

Ogarnęła go nagle dziwnie słodka radość. Miał ochotę ćwierkać jak ptaki, które jeszcze zaspane, w czubach drzew próbowały nieśmiało głosu.

Stal jego toporu¹⁷ rozbłysła niebieską luną.

Spostrzegł to, oprzytomniał i uśmiech wybiegł na jego usta.

Tak, tak... pomyślał. Wszystko tamto, to sen. Jedyna prawda, to moje narzędzie, mój topór święty.

Wywinął młyńca w powietrzu i nagle przyszła mu wielka chęć rąbać coś twardego, coś opornego... Poczul siłę, młodość... Ale łoskot zmąciłby cudną ciszę poranku. Zresztą poświęcona stal nie mogła dotknąć niczego innego, prócz cudownych tramów świątyni.

Zbliżał się z wolna do polany leśnej zalanej gęstą mgłą. Drzewa się tutaj rozstąpiły w krąg, mógł spojrzeć w niebo.

Sklepienie niebios nad jego głową było teraz cudne, błyszczące. Lśniło turkusowo, a ton ten bladł z każdą chwilą, mieniając się w srebro przeszywane złotymi nićmi. Błada tarcz¹⁸ księżycza zapadła kędyś poza drzewa, śląc wokół siebie jeno rdzawy poblask, kontrastujący z tonem nieba, co podnosiło jeszcze jego jaśnienie.

Świtało.

Człowiek z toporem kroczył przed siebie z oczyma utkwionymi w górze.

Nagle potknął się o coś twardego.

Stanął i ujrzał wielki kamień leżący w trawie.

Spojrzał wokół i mało nie krzyknął ze zdumienia.

Ujrzał tuż przed sobą niewielki pagórek utworzony z dużych kamieni. Leżały spiętrzone jedne na drugich niby mur, ale narzucone niedbale tworzyły coś, co dawało wraże-

¹⁷toporu — dziś forma D.lp: topora. [przypis edytorski]

¹⁸tarcz — dziś forma M.lp: tarcza. [przypis edytorski]

nie jakiegoś kopca czy ołtarza. Pośrodku sterczał wysoki, z gruba ociosany pal szerniał od dżdżów i pokryty narosłą mchów.

Na poprzek słupa była przybita wąska deska przypominająca w ogólnych zarysach wyciągnięte, wskazujące dokądś ramię.

— Drogowskaz! — wykrzyknął mimo woli Człowiek z toporem.

Zjawił się sen, nasunął się na jawę jak mgła i przeświecił ją na wskroś, tak iż stał się prawdą, oczywistą prawdą.

Patrzył oniemiały.

Oparty plecami o kamienie siedział pod drogowskazem zgrzybiały starzec o długiej, falistej, białej brodzie i spał z głową spartą na dłoniach. Srebrzyste włosy otaczały czcigodne jego oblicze i spadały w pierścieniach na błękitną szatę spływającą bujnymi fałdami na kamienie ołtarza.

Gdy tak patrzył zdumiony na niezwykle obraz, wydało mu się, że słyszy gdzieś w dali chóralny śpiew, pieśń nuconą przez tysiące ludzi, zagubioną w przestrzeni, dolatującą jak nikle echo. Płynęło to echo z wolna, podobne do fali, w obranym, niezmiennym kierunku, a jednocześnie ustępował z polany biały opar mgły, cofając się coraz to bardziej w głąb lasu.

A więc to prawda, pomyślał Człowiek z toporem, więc to prawda.

Doznał uczucia, że nieprawdopodobieństwo otoczyło go niby sieć i nie tylko jego. Majak ogarnął ludzi i świat i zastąpił prawdę. Nie było możliwości wydobycia się na twardej grunt trzeźwej jawy.

Jednocześnie zbudziła się potrzeba czynu. Sen czy jawa, wszystko jedno. Wołał go czyn. Objął rolę narzuconą.

Przystąpił do śpiącego i potrząsnął nim tak, że głowa starca straciwszy równowagę spadła na piersi, a ramiona zesunęły się na kolana.

Starzec spał dalej skurczony, wrosły jakby grzbietem w kamienie.

Krzyknął nań raz i drugi, ale to pozostało bez skutku.

Zbudziły się tylko ptaki w gałęziach drzew i zawiodły tak głośny świągot, że śpiący powinien by się był ocknąć z samego już tego hałasu.

Stary kapłan nie żyje, pomyślał Człowiek z toporem i doznał wielkiego ukojenia. Umarł, a przeto nie pośle na zatracenie tych oto nadciągających w procesji pielgrzymów. Dzięki Bogu!

Osunął się na pobliski kamień i usiadł z toporem między kolanami.

Siedział spokojnie czas jakiś, rozglądając się wokół. I spostrzegł przede wszystkim, że ołtarz z drogowskazem stał dokładnie pośrodku okrągłej polany. Od niego biegły na wszystkie strony ścieżki, niby promienie koła, i gubiły się w gęstwinie lasu. Niezdarne drewniane ramię wskazywało gestem zdecydowanym w jednym kierunku, ślad drugiego ramienia ledwo był widny. Odpadło widać z biegiem czasu zbutwiałe, zjedzone przez mchy.

Dzień się czynił coraz to wyraźniejszy, budziły się barwy, zajmując przynależne sobie miejsca na każdej rzeczy z osobna. Walczyły ze sobą, wypierały się wzajem. Ptaki wrzeszczały z całej mocy, jakby chciały zgłuszyć pieśń chóralną, która rosła, potężniała z każdą chwilą.

Nagle spostrzegł Człowiek z toporem, że kapłan porusza się.

Patrzył przerażony, co czyni, gotów wkroczyć, gdyby miało się stać co złego.

Kapłan powstał, wyprostował się i podniósł ramiona ku słońcu.

Wydawało się, że ma skrzydła i chce lecieć na powitanie władcy nieba. Wyglądał jak duch, ciało jego prześwieciły promienie, szata stała się mgłą szafirową, stopy ledwo tykały ziemi.

Człowiek z toporem zerwał się na równe nogi, nie wiedząc, co czynić.

Starzec śpiewał hymn, w tej samej poruszającej się kadencji, co pieśń pielgrzymów.

Nie można było pochwycić uchem słów... czyż były to zresztą słowa? Starzec znajdował się teraz w nastroju ducha, gdzie nikną słowa nawet najwyższe, najgórniejsze, nie mogąc niczego wyrazić. Witał słońce radością serca i dźwiękami zbratanymi najbliżej jeszcze ze świągotem ptaków leśnych.

Czyn

Nie był już materialną istotą, rysował się zaledwo na tle polany, a wokół jego głowy rozpromienił się nimb świetlisty zharmonizowany precudnie z blaskami promieni sypiącymi się od wschodniej strony.

Człowiek z toporem padł na kolana ogarniony wzruszeniem i czią niewysłowioną.

W tej chwili ukazały się na skraju polany pierwsze szeregi pielgrzymów.

Pochód zatrzymał się, ludzie rozstąpili się w wielki krąg i poklękli¹⁹, czekając, aż kapłan skończy modlitwę poranną.

Nie trwało długo. Nimb dokoła głowy starca począł gasnąć, ciało jego zarysowało się znów ostrą sylwetą, szata zszarzała i niebawem stał na polanie prosty, skromny stary człowiek, a słowa, które głosił brzmiały również prosto i niewyszukanie.

— Moi mili — rozpoczął — dobrze się stało, żeście tutaj oto przyszli. Jest to bardzo pocieszające i dobre dla was wszystkich. Wiem, że przemierziliście stopami świat cały, że błędziliście długo po drogach fałszywych, a poznawszy, iż są takimi, z mozołem szukaliście drogi dobrej. Niemal było to kosztowało cierpienie i zaparcia. Widzę każdą kroplę krwi, każdą ranę stóp waszych. Policzyłem je i rachunek długi przedłożyłem Bogu do zapłaty. Teraz oto głoszę wam dobrą nowinę: koniec cierpienia nastąpi, uzyskacie wszyscy pokój i szczęście.

Skąd pochodzi, że mnie to właśnie wybrał Bóg za swego posłańca, nie waszą rzeczą badać. Tak się stało. Przyjmijcie tylko szczere zapewnienie, że pycha nie mówi przez moje usta.

Pielgrzymi pochyliłi się w niskim poklonie, twarze ich leżały w trawie.

— Nie należy mi się cześć żadna, o bracia moi! — powiedział starzec — Jestem tylko głosicielem słów cudzych, słów świętego wybrańca bożego. Jemu się cześć, nie mnie należy. Podnieście się i słuchajcie pilnie.

Tysiąc spojrzeń zawisło na jego ustach, jak gdyby pielgrzymi chcieli widzieć złote słowa, które z nich ulecają.

— Przed wielu latami — zaczął kapłan — przed bardzo wielu latami, a wiecie drodzy bracia, że lat życia świętego liczyć nie należy, jeno mierzyć tym, co zawarły, gdyż czasem są jak wieki, a czasem znów przemijają niepostrzeżone, otóż w czasie odległym od chwili obecnej żył na świecie mąż świętobliwy, którego Bóg umiłował. Chcecie wiedzieć, jak się nazywał? Trudna odpowiedź. Weźcie słońce, księżyc, gwiazdy, zwierzęta ziemi, stwory powietrza i morza, wielkie i małe, dalej weźcie człowieka wraz ze wszystkimi jego radościami i troskami, z wszystkim pięknym i szlachetnym, które się przezeń objawić może, zgromadźcie wszystkie wielkie myśli, jakie się narodziły od zarania czasów w duszach, wszystkie natchnienia poetów, artystów i filozofów, wszystkie modlitwy serc gorących i bogobojnych i utwórzcie z tego wszystkiego słowo, które by streszczało w sobie rzeczy i sprawy, które wyliczyłem... a będziecie mieć imię świętego męża.

Posiadał szlachetne, miłujące cały świat serce. Człowiek taki jawi się na ziemi raz tylko w tysiącu lat, albo i rzadziej może jeszcze. Odczuwał każdy ból świata i brał udział w każdej radości jego. Nie było dlań stworzenia zbyt małego i zbyt niegodnego, nie było zbyt wielkiego i nieprzystępnego, nie było zbyt głupiego i dość wstrętnego. Wszystko co żyje otaczał miłością jednaką i pieczę miłosną. Istoty, które się naszym grubym zmysłem przedstawiają jako pozbawione życia, znał i odczuwał w ich najistotniejszej treści i zawarł również w swoim sercu. A ta ogromna, nadludzka zdolność miłowania całego świata uczyniła, że dane mu było wszystko martwe i żywe radować, wspomagać i podnosić.

Żył długo kochany i czczony, chociaż odsuwał od siebie oznaki czci i polecał, by ludzie brali tylko to, co dawał, zaś jego samego nie chowali nawet w pamięci. Chciano go zasypać bogactwami, uczynić władcą państw i ludów. Wówczas płakał gorzko i żalił się, iż ludzie go nie rozumieją.

Jedyne, co mi dać możecie, mawiał, jest, abyście żyli, jako ja żyję. Idźcie w moje ślady, a szczęście stanie się waszym udziałem. Taka będzie wasza i moja nagroda. Stałem się szczęśliwy miłością i współczuciem... naśladowajcie mnie!

Prawił to wszystkim ciągle i uczył przykładem własnym. Ale ludzie nie umieli go naśladować. Człowiekowi łatwiej uczynić wszystko, jak żyć wbrew sobie. I dlatego trudnym było bardzo świętemu mężowi sprowadzić szczęście na ziemię. Tu i ówdzie przyjął się

¹⁹ *poklękli* — dziś: *poklękali*. [przypis edytorski]

pięknie złoty posiew, ale marniał po największej części i stało się widoczne, że nie sposób świata do szczęścia zbliżyć. Świat nie umiał być szczęśliwy, mimo że wołał o szczęście ogromnym głosem. Ludzie nie mogli pojąć, że szczęście nie przychodzi z zewnątrz, jak świetny, wspaniały meteor, albo cudna kometa z zaświatów, ale że wyrasta w głębi duszy ze ziarna miłości i pełni się w ciszy, a kwiaty i owoce wysła dopiero w świat, gdy czas właściwy nadejdzie.

Świątobliwy mąż rzucał ciągle posiew szczęścia w ziemię, ledwo się jednak oddalił, marniało ziarno i usychało niepolewane i pozbawione pieczy.

Tak być dłużej nie może, rzekł sam do siebie. Starzeję się, a gdy umrę, zapadnie cały świat w niedolę i cierpienie. Po chwili rozmysłu udał się w daleką podróż. Zwiedził świat cały, chcąc znaleźć dla ludzi wszystkich ras i krajów wspólną formułę szczęścia, wspólny symbol, który by zawierał to, co łączy w pracy nad przemianą człowieka w istotę wyższą, światlejszą. Taki symbol, jak mniemał, byłby dla ludzkości znakiem odnowy, ostoją wśród rozchwiei przypadkowości, domem, pod dach którego chroniłby się nieszczęsny twór żywy. Gdy wrócił, oczy jego czerwone były od płaczu. Poznał, że ludziom prócz siebie nic więcej dać nie może... siebie i przykład swój. Tylko taki przykład, stawiony pokoleniom przez wieki i wieki zbliżyć mógłby królestwo szczęścia na ziemi.

A właśnie około tego czasu otrzymał z nieba znak, że wnet mu umierać przyjdzie.

Zasmucił się bardzo i poprosił o zwłokę.

— Zgoda! — powiedział Stwórca — Albo nie, zrobimy inaczej. Umrzesz, a mimo to pozostaniesz na ziemi. To będzie praktyczniej. Nie mogę przez ciebie opóźnić biegu świata. Oto tak będzie. Przez całe życie wskazywałeś ludziom drogę szczęścia. Uczynię, że będziesz ją wskazywał także i po śmierci. Ci, którzy zrozumięją, zazną szczęścia.

— A ci, którzy nie zrozumięją? — spytał święty mąż.

— Ci, którzy nie zrozumięją będą cierpieć dalej, ale uczynię, że będą musieli po wychyleniu czary bólu wracać do ciebie i będą musieli powtarzać to tak długo, aż wreszcie zrozumięją.

— Któż ich pouczy, że tak mają czynić? — pytał dalej święty.

— Polecę bogobojnemu mężowi, by się zjawił u ciebie dla nauki. Udzielisz mu swych wskazówek i on zastąpi twe miejsce na ziemi. Będzie żył lat sto...

— A gdy minie sto lat... — przerwał święty.

— Za dużo żądasz! — zawołał Stwórca — Ale ponieważ poznałeś istotę szczęścia i ponieważ cię miłuję, przeto przychyliam się do twej prośby. Po śmierci męża pierwszego, ześlę drugiego na ziemię.

— A gdy drugi umrze? — pytał święty dalej.

— Tego za wiele! — wykrzyknął Stwórca. Po chwili jednak dodał — No, niechże będzie! Nudzisz mnie, ale zrobmy układ. Możesz liczyć na to, że będę zsyłał na ziemię co sto lat posłańców moich, nauczycieli szczęścia, którzy póty głosić będą twoje nauki, aż przenikną do serc ludzkich i zakorzenia się w nich. Myślę żeś nareszcie zadowolony? Co?

— Dziękuję Ci Przedwieczny! — powiedział święty mąż — Jestem mniej więcej uspokojony. Nie wiem tylko, czy ludzie będą tych nauczycieli szczęścia należycie rozumieć.

— Na to już ja nic nie poradzę! — odparł Stwórca świata — Wszakże oni nie rozumieć twoich własnych nauk!

Rozplakał się święty mąż, pokłonił się panu Bogu i powędrował przez świat, aż zaszedł do tego oto kraju. Czuł, że się zbliża jego godzina, usiadł tedy tutaj oto na tej polanie i rozpoczął objawiać następcy swemu, którego mu Bóg przysłał, jaką jest nauka szczęścia, którą ma głosić ludziom, a bardziej jeszcze, jakimi sposobami może trafić do serc ludzkich.

Uczeń słuchał pilnie i powtarzał wiernie słowa świętego męża, a gdy już wszystko umiał dokładnie na pamięć, przyszła na starca wielka niemoc.

Kiedy uczuł, że umiera, powstał i podpierany przez ucznia trwał na modlitwie. Chciał, by go anioł boski zastał gotowym do drogi, nie zaś gnuśnie leżącym na ziemi. Stał długo zamodlony, nic nie jedząc, ani nie pijąc. I z każdą chwilą coraz to bardziej więzy ziemskie opadały z niego, czuł w sobie niezmierne wewnętrzne przeistoczenie. Zatraciła się gdzieś niemoc ciała, przestało mu ciężyć i ciągnąć ku ziemi. Im dłużej stał, tym bardziej czuł się lekkim, miał wrażenie, że unosi się w powietrze. Dosłownie opuszczał ziemię. Ale

i w tej chwili nie zapomniał o ludziach i modlił się, by im uprosić łaskę zrozumienia nauki i przykładu następcy, jakiego im przygotował.

Pewnego dnia rozkazał temuż następcy, by położył u stóp jego kamień!

— I po cóż to? — spytał tenże.

— Nie pytaj, ale uczyni, co mówię! — rozkazał i dodał — Rozkazuję ci i zalecam. Gdy będziesz umierał, niech uczeń twój i następca położy obok tego pierwszego, drugi kamień... rozumiesz?

— Rozumiem!

— Ale tylko jeden, nie więcej!

— Rozumiem, ale jakiż cel tego?

— Nie pytaj! — odpowiedział święty i zatopił się znowu w modlitwie.

Pewnego ranka, kiedy uczeń spał jeszcze, zmarł święty mąż. Ale nie upadł na ziemię. Za łaską boską stało się, że trwał dalej, stojąc...

— Oto wszystko moi mili, co wam mogę powiedzieć — kończył starzec — Od czasu onego przeminęły tysiączne lata. Nie wiem sam naturalnie, gdzie kończy się legenda, a zaczyna prawda oczywista. Jest to niepodobieństwem. Objawiłem wam naukę i spełniłem swoją powinność. Szczęśliwi, którzy zrozumieli.

Podczas gdy mówił, zbliżali się doń pielgrzymi coraz to bardziej. Uczynił się ścisk. Wszyscy przelewali łzy radości, niektórzy całowali rąbek jego szaty, inni kamienie ołtarza i czarne drzewo słupa.

Człowiek z toporem był także wzruszony. Nie mógł się temu oprzeć. Po chwili jednak zbliżył się do starca i powiedział stłumionym głosem:

— Czcigodny ojcze! Muszę ci coś ważnego objawić. Posłyszałem bardzo złowrogie i groźne rzeczy, podczas gdy spałeś.

— Któż ty jesteś mój synu? — spytał starzec. — Nie zaliczasz się, widzę, do rzeszy pielgrzymów.

— Jestem Człowiek z toporem, któremu poruczono czynność bogobożną i świętą.

— Wykonaj ją tedy mój bracie... wykonaj wedle najlepszych sił twoich...

— Posłyszałem rozmowę... — ciągnął dalej przybysz — Złe duchy naigrawają się okrutnie z tych ludzi. Istnieje tu w pobliżu gdzieś miejsce nieludzkiej kaźni, gdzie biorą tych nieszczęsnych na męki. Widziałem jednego, któremu się udało uciec. Biegł od tej właśnie strony, ku której zwrócone jest ramię drogowskazu.

— Drogi synu... — odparł łagodnie starzec — Mylisz się, to wcale nie jest drogowskaz. Legenda powiada, że są to szczątki doczesne ciała świętego męża, o którym opowiadałem, jego ciało z ramionami wzniesionymi w niebo. Ale w rzeczy samej są to jeno resztki drzewa zbutwiałego. Świętość każdej relikwii tkwi jeno w sercu wiernego. Jest to ciało symbolu... strzeż się brać je za formę rzeczywistości... strzeż się, powiadam ci, źle rozumieć...

— Wszystko jedno... czcigodny ojcze... nie dozwól, by ludzie ci udali się w tym kierunku... tam czeka ich śmierć!

— Ludzie uczynią, jak mówi nauka, nauka, którą słyszałeś, jak inni. Czyż rozumiałeś moje słowa? Dziwny z ciebie człowiek! Czyż nie ubiegasz się o szczęście, jak ci wszyscy?

— Spełnienie obowiązku... oto moje szczęście! — wykrzyknął dumnie.

— To samo czuję i ja! — zgodził się starzec.

— Źle spełniasz swój obowiązek, ojcze czcigodny! — powiedział twardo Człowiek z toporem.

— Źle! — zdziwił się.

— Powinien byś ochronić tych ludzi od mąk, które płyną ze złego zrozumienia symbolu! Obowiązkiem twym jest powiedzieć im, że treść nie kryje się z formą, że nauki nie trzeba brać formalnie, ale wnikać w jej treść prawdziwą... powinieneś... powinieneś... bo ja wiem, powinieneś ich ocalić...

— Nie rozumiem cię drogi synu! — rzekł starzec — Wszakże wszystko to powiedziałem ludziom i powtarzam ciągle...

— Drogowskaz, czy rzecz, którą za niego biorą, to jakaś poczwarna ironiczna pomyłka, ohydna maska szlachetnej nauki, grymas wstrętny...

Religia

— Widzę, że nie rozumiałeś nauki! I ty jej nie rozumiałeś. Powtarzam: szczęśliwi, którzy zrozumieli. A inni... inni pójdą i wrócą... będą wracać, aż zrozumieją. Tak powiedział Stwórca świata.

— Ale te męki...

— Są one częścią nieodłączną nauki. Zło jest jednocześnie głupie. Mniema, że zdolne uczynić coś przeciw dobru... Nie! To nieprawda, ono jest bezsilne... bezsilne, choć prędkie porywcze i ludzące pozorami. Ale dosyć tego...

Odwrócił się od niego.

— Słowo... jedno słowo tylko! — zawołał Człowiek z toporem.

— Mów... ale prędko!

— Kiedyż ludzie zrozumieją nareszcie?

Starzec zwrócił się doń i objął go miłosnym spojrzeniem.

— Synu... synu drogi! — zawołał — Mówisz, jak ongiś mówił święty mąż.

— Odpowiedz! — zawołał.

— Onego dnia, gdy zgromadzone pod drogowskazem kamienie zakryją go — odparł uroczyście.

Zwrócił się ku pielgrzymom.

Tymczasem utworzyła się znowu procesja i zabrzmiał śpiew chóralny. Ludzie, płacząc ze wzruszenia, z oczyma zawieszonymi na sklepieniu niebios poruszali się uroczystym pochodem w kierunku wyciągniętej ręki drogowskazu.

— Stójcie! Ani kroku dalej! — krzyknął z całej mocy Człowiek z toporem.

Pochód sunął dalej, ani jedno spojrzenie nie skierowało się na wołającego, nikt nie zwrócił nań uwagi.

— Każ im stanąć! — prosił starca.

Ale starzec nie słyszał jego słów. Stał wyprostowany na kamieniach ołtarza. Oba ramiona uniósł w górę i błogosławił idących.

— Na miłość boską, stójcie! — zagrzmiał ponownie i podniósł w górę topór.

Procesja płynęła dalej. Jawili się ludzie coraz to nowi, sunęły postacie mnogie, korowód nie miał końca. Śpiewali radośnie a poważnie, bez słów. Było to jakby harmonijny oddech duszy zbiorowej, pieśń tęsknoty. Nie było w tym słów, bo słowa nie mogły wystarczać w tej chwili.

Starzec wydawał się słupem kamiennym, zastygł w bezruchu błogosławieństwa.

— Święta stali! — zawołał Człowiek z toporem. — Przeznaczone ci było ciosać czcigodne tramy na świątynię Bogu. Podnoszę cię oto w wielkiej sprawie. Niszcz majak kłamu, który zakrywa Boga, ciosaj święte tramy światłości, buduj świątynię Temu, którego imię prawda!

Jednym rzutem ciała wskoczył na ołtarz kamienny, podniósł topór, zamigotał iskrami w powietrzu i ciął strasznie w wyciągnięte ramię drogowskazu.

Stoczyło się po kamieniach z głuchym stukotem.

Pochód stanął jak wryty. Wszystkie spojrzenia zwróciły się na świętokradcę. Dopiero teraz dostrzeżono go i tłum spoglądał zdumiony, osłupiały. Pieśń zgasła jak płomień zdmuchnięty. Martwa cisza ogarnęła polanę i las cały.

Jak strzał armatni padł w tę ciszę ryk tłumy. Skowyt rozteńnił wszystko wokół.

Korowód rozprysnął się na części, pielgrzymi otoczyli śmiałka szerokim kręgiem.

Stał spokojnie sparty na rękojęści topora, a spojrzenie jego skierowane było ku rzece, spozierał ku niej, ponad głowy tłumy.

Z warkotem śmignął przez powietrze kamień i uderzył go w ramię.

Zwisło zaraz bezsilnie.

Stał dalej, ściskając topór drugą ręką i nie odwracał oczu od rzeki, której migotliwe fale przebłyskiwały poprzez drzewa.

Posypały się nań kamienie gradem.

Były to kamienie ołtarza.

Upadł, a ciało Jego pokrywały z wolna glazy ciężkie, szare, ostre.

Jasna, połyskliwa, młodzieńcza jego krew migotała wesoło w słońcu.

Uczynił się nad nim wzgórek. Tłum szalał i miotał pociski.

Nagle wszystko umilkło.

Krew

Albowiem stała się rzecz dziwna.

Z oddali nadpłynęły dźwięki fanfary, radosne, skoczne tony pieśni, jakiej nie słyszano tutaj jeszcze. Nowe były, nieznanne, porankowi, który schodzi na świat, podobne, a stare, prastare jak słońce, które rodzi poranek.

Na falach rzeki kołysały się święte tramy dębowe. Płynęły z wiatrem, który dął w biały żagiel barki.

W szatach rozwianych, z wieńcem mirtowym na skroni stała Tęsknota u steru.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na [Licencji Wolnej Sztuki 1.3](#). Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/mirandola-tropy-drogowskaz>

Tekst opracowany na podstawie: Franciszek Mirandola, Tropy, Nakładem czasopisma „Maski”, Skład główny w księgarni I. Czernieckiego w Krakowie, Kraków 1919

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).